

LISA SAMSON



PRZY  
TUL  
MNIĘ

Przekład  
Zbigniew Zawadzki

Wydawnictwo WAM

Tytuł oryginału  
EMBRACE ME

© 2007 by Lisa Samson  
All Rights Reserved. This Licensed Work published under license

© Wydawnictwo WAM, 2013

Redakcja  
Ewa Zamorska-Przyłuska

Korekta  
Dariusz Godoś

Projekt okładki  
Wioletta Markiewicz  
fot. © Svetlana Fedoseeva

Łamanie  
Barbara Bodzoń

ISBN 978-83-7767-949-4

WYDAWNICTWO WAM  
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków  
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003  
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl  
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY  
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496  
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIEGARNIA WYSYŁKOWA  
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447  
faks 12 62 93 261  
e.wydawnictwowam.pl

Drukarnia Wydawnictwa WAM  
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

# CZEŚĆ PIERWSZA



# Rozdział 1



DREW: 2002

Zdumiewające, jak chętnie człowiek myśli o spotkaniu z katolickim księdzem, kiedy nie ma nikogo innego, do kogo mógłby się zwrócić.

Sądząc po wywieszonej tabliczce, powinien gdzieś tu być. Frontowe drzwi nie są zamknięte i wchodzę prosto do nawy. Mimo białych ścian miejsce przyprawia mnie o gęsią skórkę – tę starą, katolicką gęsią skórkę, którą wzmógł jeszcze posąg Marii stojącej na kuli ziemskiej i trzymającej stopę na głowie węża z szeroko otwartą w przedśmiertnym grymasie paszczą.

Bardzo dobrze, Mario. Nigdyśmy cię dostatecznie nie doceniali. Nie przesadzaliśmy z tym, tak jak ci tutaj. Wsuwam ręce w kieszenie i rozglądam się: patrzę na ołtarz, na kamienną chrzcielnicę, dwie ambony – większą i mniejszą – dwa rzędy ławek, boczny ołtarz, chyba z posągami Józefa, tak mi się przynajmniej wydaje. Widzę drzwi na tyłach kościoła i kolejny boczny ołtarz z posągami Marii.

Ale nie widzę tych rzeźbionych, drewnianych budek ze zwisającą kotarą, jakie zawsze pokazują w filmach. Wołam więc: – Czy jest tu ktoś? – a mój głos odbija się od kamiennych ścian małego kościółka.

Żadnej odpowiedzi.

Święty Tomasz, którego twarz na witrażu pławi się w słońcu późnego popołudnia, nie wygląda, jakby zdawał

sobie sprawę z mojej obecności – i zresztą nie mogę mieć o to do niego żalu.

Siadam w pierwszej ławce i mój wzrok spoczywa na stojaku ze świeczkami wotywnymi, których płomienie pełgają w czerwonym szkle osłonek, a potem spoglądam na okrągłe, szklane okienko w ścianie za moimi plecami, skąd Jezus – trzymający ramiona szeroko rozpostarte w powitalnym geście, z gołębicą unoszącą się nad jego głową i rozchodzącymi się od tej głowy promieniami światła – obejmuje spojrzeniem całe pomieszczenie.

We wnętrzu kościoła pojawia się człowiek niewielkiego wzrostu – dużo młodszy, niż się spodziewałem.

– Dzień dobry.

– Czy ksiądz jest tu proboszczem?

Wspaniale. Przechodzę właśnie największy kryzys duchowy w życiu i Bóg zsyła mi faceta świeżo po seminarium, który prawdopodobnie nie ma zielonego pojęcia o prawdziwym świecie. Idealnie.

– Tak. Przepraszam, że się trochę spóźniłem. Zawsze przed mszą jest tyle rzeczy do zrobienia.

– Rozumiem. Słyszałem kiedyś, że kapłaństwo jest wyczerpujące.

– To delikatnie powiedziane! Z tylu rzeczy trzeba zrezygnować... Czy pan chce się wypowiedzieć?

– Tak.

– Przyjechał pan do Ocean City jako turysta? – Siada obok mnie, swobodnie kładąc ramię na oparciu ławki.

– Coś w tym rodzaju. Przedłużony pobyt. Przyjeżdżałem tu z mamą na wakacje, kiedy byłem młodszy. Nie jestem katolikiem.

Patrzy na mnie spokojnymi, brązowymi oczami, pocierając dłonią policzek, na którym pojawił się już popołudniowy zarost, potem poprawia krótko ostrzyżone, czarne włosy.

– No cóż, Bóg nie kręci nosem na ludzi, którzy chcą się wypowiedzieć, jeśli tylko gotowi są okazać skruchę. Czy jest pan człowiekiem religijnym?

– Byłem kiedyś kapłanem ekumenicznym.

– O, mój Boże! No cóż, nie będę tego wykorzystywał przeciwko panu.

Chichocze, po czym rozluźnia się. Nie jestem księdzem, ale mój rozmówca najwyraźniej wyczuwa we mnie osobę, która tak jak i on pragnie sprostać swojemu powołaniu.

– Proszę mi wybaczyć, czasami za dużo mówię. Cóż więc leży panu na sercu? A, i jeszcze jedno, żeby pan nie miał wątpliwości: w takim wypadku również obowiązuje tajemnica spowiedzi.

– Pobłogosław mnie, ojcie, bo zgrzeszyłem.

– Nie jest pan katolikiem. Nie gramy w filmie. Nie ma potrzeby przechodzić przez ten cały rytuał. – Macha ręką, żeby go odpędzić. – Ale powiedział pan to tak od serca... Rzadko się to zdarza w dzisiejszych czasach. Urlopowicze. Wie pan, poprzedniej nocy wyszli na miasto i dopuścili się najrozmaitszych śmiertelnych grzechów. Planują to jeszcze powtórzyć. Na szczęście to Bóg jest prawdziwym sędzią ludzkich serc, a nie ja. Ja robię jedynie to, co do mnie należy, a resztę pozostawiam Jemu. Każdy z nas może tylko tyle.

– Żałuję, że nikt mi tego nie powiedział dawno temu.

– Proszę więc opowiedzieć o swoich problemach. A przy okazji: jestem ojciec Brian.

„Brian?” Uśmiecham się.

– Tak, rozumiem ten uśmiech. Taki jest los młodego księdza o młodzieżowym imieniu.

– Nie wiem, od czego zacząć.

– Skrucha może wiele zdziałać dla ratowania naszych dusz. Gdziekolwiek pan zacznie, będzie dobrze. Bóg i tak od



Nie zdaje sobie sprawy, że właśnie soczystym ciosem trafił mnie w szczękę.

– Dziękuję.

– Jeśli masz ochotę, zostań tu i módl się.

– Dzięki, ale te rzeźby jakoś działają mi na nerwy.

Śmieje się.

– Protestanci zwykle tak reagują. Nie martw się. Zadzwoń, kiedy będziesz gotów.

Ksiądz wstaje i zmierza w kierunku drzwi w bocznej ścianie kościoła. Minutę później przy sąsiednich drzwiach, umieszczonych tuż obok tamtych, zatrzymuje się młoda kobieta. Och, więc to tam jest ta budka. Kobieta ma pochyloną głowę, przypuszczalnie pod ciężarem grzechów, i trzęsą się jej ręce.

Nie mogę już na to patrzeć ani chwili dłużej.



Wlokę się z powrotem do swojego pokoju, zatrzymując się po drodze w sklepie, żeby kupić zeszyt i paczkę ołówków. Choć zasadniczo nie planuję wycierać zbyt wiele gumką, chciałbym jednak mieć taką możliwość.

Przyjechałem do Ocean City, ponieważ nie potrafiłem wymyślić żadnego innego miejsca, do którego chciałbym trafić. Chapel Hill? W żadnym wypadku. Waszyngton? Z pewnością nie. To miasto zabiło mnie, zanim jeszcze otrzymałem od niego jakąkolwiek szansę.

Hotel Dunesgrass, w którym się zatrzymałem, jest przeznaczony do wyburzenia na początku wiosny. Moja matka i ja każdego lata zatrzymywaliśmy się w nim na tydzień, sami, tylko ona i ja. Opalaliśmy się na rumianobrazowo i czytaliśmy książki na plaży, chodziliśmy co wieczór po deptaku,

jedliśmy popcorn z melasą i pizzę albo kanapki z rostbefem. A więc robiliśmy nie całkiem to, co lubił robić na wakacjach mój ojciec. Hotel pachnie teraz starością. Kinkiety, które wtedy oświetlały korytarze, nie działają. Wytarta, rdzawo-czerwona wykładzina jest pofalowana na brzegach.

Można wynajmować pokoje na miesiąc, na dni albo na godziny, jeśli żyje się dobrze z recepcjonistą, który pracuje od jedenastej do siódmej. Większość ludzi mieszka tu na okrągło przez cały rok. Cztery przecznice od oceanu i niezliczone mile od dobrze wychowanego towarzystwa.

Układałam wszystkie poduszki na wezgiłowiu, przyciągam lampkę, żeby oświetlała kartki zeszytu w niebieskawą linię i przykładałam grafit do pierwszej, górnej linijki.



*Ojczy Brianie,*

*zaczynam przekonywać, że łatwiej byłoby całkiem z tego zrezygnować.*

*Hermi twierdzi, że mężczyźni są skuteczniejsi w popelnianiu samobójstw niż kobiety.*

*Wydaje mi się, że jeśli już docieramy na skraj takiej przepaści, to musieliśmy wcześniej wyczerpać wszystkie inne możliwości. Nikt nie jest w stanie nam pomóc. Już przecież szukaliśmy pomocy. Nikt do nas nie przybiegł, a nawet jeśli, to i tak nic to nie dało. No i tyle. Zostało już tylko jedno miejsce, dokąd możemy pójść.*

*Zakładając, że rzeczywiście nie ma już odwrotu, byłbym za porządnym strzałem w usta. Szybko. Skutecznie. Małe prawdopodobieństwo przeżycia. Łatwo byłoby mi wybrać scenerię dla takiej autoegzekucji. Miejsce, w którym nikt nigdy nie będzie mnie szukał, kilka mil w głąb lasu, z dala od drogi, którą chadzałem w poszukiwaniu pocieszenia.*

*Myslałem też o przywiązaniu sobie pustaków do nóg i skoku do jeziora Coventry, znad którego pochodzę, tylko że śmierć przez utonięcie trwa za długo. Ale oba te scenariusze mają pewną wspólną zaletę: dość dobrze ukryte ciało.*

*Oczywiście zostawiłbym list adresowany do mojej kongregacji. Byłby aż napęczniały od kłamstw na temat zniknięcia Daisy i mojego własnego. Oskarżyłbym Trician, tak samo ubabraną w tym wszystkim jak i ja; ani razu nie przyznałbym się wprost do swojego współudziału.*

*No i właśnie dlatego nie zastługuję w tym momencie nawet na to, żeby się zabić. Ani w tym, ani w żadnym innym. Nie jestem odpowiednim typem. Chociaż chciałbym. Wydawało mi się po prostu, że to będzie intrygujący sposób rozpoczęcia tej historii. Prawda jest jednak taka, że ja nawet nie zacząłem jeszcze wyczerpywać wszystkich swoich możliwości.*



Wsuwam ramiona w rękawy kurtki i schodzę na dół, kierując się w stronę tylnego wyjścia. Stare hotele nie są zbyt wybredne, gdy chodzi o gości. Jeśli w ogóle ktokolwiek pojawia się w ich ciemnowych zakamarkach, przyjmowany jest z ulgą i nadzieją, że może przez dzisiejszy mrok przebije się choć odrobina dawnego splendoru i gość zdoła dostrzec, czym naprawdę jest ten hotel. A w każdym razie czym był. Czy jakoś tak. Nawet kiedy przyjeżdżaliśmy z mamą, nie było tu wcale tak przyjemnie. Ale myśmy i tak nigdy nie siedzieli w pokoju – cały czas spędzaliśmy na plaży albo na deptaku.

Zapalam papierosa, zaciągam się dymem i rozglądam po bocznej uliczce, przy której śpi Glen, owinięty w koce i alkohol, tuż przy schodach pożarowych lombardu. Glen cierpi na demencję wywołaną narkotykami. Powiedział mi o tym od

razu pierwszego dnia, kiedy go tu znalazłem. Wciskam mu do kieszeni piątkę, a potem przysiadam na schodach poza-  
rowych hotelu.

Podciągam rękawy kurtki i przyciskam do ciała ponad nadgarstkiem końcówkę żarzącego się wciąż niedopałka. Wstrzymuję oddech. Odsuwam papierosa i grudniowy wiatr zaczyna coś szeptać do mojej przypalonej skóry.

Po początkowej uldze przychodzi nieunikniona myśl. „Co ty właściwie zrobiłeś, idioto?” Poprawia mi to samopoczucie. Nie wiem dlaczego. I na tym etapie nie zastanawiam się nad tym. Dziś, jak to się czasem mówi, większe ryby czekają, żeby je usmażyć.

Dobrze, ojcze Brianie – bierzmy się za to. Jest wczesny ranek i kończy mi się czas. Nie można żyć długo między grzechem a pokutą, prawda? Mógłbym zginąć w wypadku, udławić się jedzeniem. Każdego dnia może też nastąpić powrót Jezusa.

Wciskam paczkę papierosów do kieszeni kurtki i idę w stronę plaży. No tak, jest zima. Zimno. Ale to nasza plaża. Chętnie bym się po niej przeszedł w słońcu. Wyglądam teraz, jakbym był zrobiony z plasteliny.



Kiedy słońce zaczyna przypiekać siatkówki moich oczu, pokój wygląda szczególnie obskurnie. Popijam z kubka kawę kupioną w pobliskim sklepiku i ponownie biorę do ręki notes.



*Kiedy Daisy i jej matka weszły do świątyni, uwaga zgromadzonych skupiona była na młodym pastorze wykonują-*

*cym swoją pracę na scenie pośrodku sali i otoczonym przez krąg wysycielanych foteli. Pochodzę z miasta Mount Oak, Ojczce. Wątpię, czy Ojciec tam kiedykolwiek był.*

*Był rok 1999, prawyборы będące częścią kampanii prezydenckiej właśnie się rozkręcały, a ja żartowałem sobie z kandydatów, którzy mieliby otrzymać mój głos.*

*„Spójrzcie na ten krawat. Spójrzcie na ten elegancki garnitur. Na członka jakiej partii wyglądam?” Nie wierzyłem ani przez sekundę, że gdybyśmy byli u władzy, Amerykanie staliby się narodem świętych, a Bóg przymknąłby oczy na nasze grzechy, ale mieliśmy wtedy u nas takich wiernych, że się z takich rzeczy śmiali. Ja też się śmiałem, prychając lekko, przewracałem oczami, kręciłem głową i szeroko rozkładałem ramiona. „No tak, jestem tym, kim jestem. Niedaleko pada jabłko od jabłoni”.*

*Śmiali się jeszcze bardziej. Nie musiałem im tłumaczyć, kim jest mój ojciec. Wszyscy znali Charlesa Parrisha, eksperta od polityki, lobbystę i – mówiąc ogólnie – waszyngtońskiego człowieka czynu.*

*Moi ludzie chcieli po prostu cieszyć się pokojem we własnym mieście, we własnych domach, we własnym kościele. Wydaje mi się, że ja też chciałem, żeby się z tego cieszyli.*

*Pokój? Pokój, a kiedy nie ma pokoju? Czy to pytasz, Ojczce Brianie? Zgoda.*

*Przysunąłem sobie stojący z boku obrotowy stółek barowy, sprawdziłem, czy mikroport mam dobrze przymocowany do paska – i usiadłem. Stosując swoje techniki, potrafiłem sobie poradzić w kościele o amfiteatralnym układzie ławek lepiej niż inni, których w takiej scenerii widziałem, nawiązując kontakt wzrokowy przynajmniej z połową spośród dziewięciuset ludzi gromadzących się tam w niedzielne poranki. W mniej sprzyjających momentach, których było wiele, Ojczce, myślałem o tym jak o korycie, przy którym*

*ludzie pożerają swoją cotygodniową porcję duchowych klu-  
sek, jedząc dokładnie tyle, ile potrzeba na najbliższe siedem  
dni, czyli do czasu, kiedy znów się tu spotkają – ale nie dość,  
żeby móc podzielić się jeszcze z kimkolwiek innym. Z ko-  
lei w lepszych momentach uświadamiałem sobie, że w głębi  
duszy ci ludzie naprawdę poszukują pokoju Chrystusowego.  
A ja podsuwałem im wciąż te same stare odpowiedzi, które  
już od długiego czasu nie działały.*

*Ale nawet gdybym chciał im podać gulasz – wtedy jesz-  
cze nie znałem przepisu. I nadal nie znam.*

*Uśmiechnąłem się i powiedziałem: – Czytałem starą  
książkę doktor Susan Gordon – czy ktoś pamięta jej audy-  
cje radiowe z lat osiemdziesiątych? – Oczywiście w czasach,  
kiedy ten program osiągnął tak wielką popularność, byłem  
dzieckiem.*

*Wskazałem kobietę po pięćdziesiątce – wydaje mi się, że  
to była Maggie Reynolds – i żeby się podlizać, uśmiechnąłem  
się jeszcze szerzej, nawiązując ze słuchaczką wyczekiwaną  
więź. Wyczekiwaną przez nią. Wśród wiernych siedziało  
ze sto innych kobiet błagających, żeby je zauważyć – żeby  
ktokolwiek je zauważył. Nie byłem aż takim idiotą, żeby  
odbierać to osobiście, ale nie byłem też na tyle głupi, żeby  
nie zdawać sobie sprawy, iż takie kobiety jak Maggie są dla  
mnie kluczem do sukcesu.*

*– Doktor Gordon mawiała, że należy zadbać o siebie,  
zanim zadbamy o innych. Amen?*

*– Amen! – krzyknęła, krzyknęły wszystkie. Och, potrafi-  
łem wydobywać z nich te okrzyki...*

*– Bóg chce, żebyśmy byli cali i zdrowi. Wcale nie popiera  
cierpienia. Amen?*

*Widzi Ojciec, im więcej razy prosi się o „Amen”, tym  
więcej się dostaje. No tak, Ojczce, nie przypuszczam, żeby*

wiele takich okrzyków odbijało się echem od krokwi Twojego kościoła St. Mary.

Zgromadzeni wierni bardzo chcieli usłyszeć ode mnie, że pewnego dnia ich życie stanie się mniej bolesne. Byli na tym tak skupieni, że nie zauważyli wejścia Daisy i jej matki. Wiedziałem, co chcieli usłyszeć. Dokładnie wiedziałem. Ponieważ... wie Ojciec dlaczego? Dlatego, Ojczy Brianie, że ja też tego chciałem. Najbardziej na świecie! Gdybym mógł rozpowszechnić tę wiadomość odpowiednio daleko i szeroko, być może stałaby się prawdą.

Bóg nie chce, żeby człowiek cierpiał, nigdy. To nieważne, że „ucisk wyrabia wytrwałość”<sup>1</sup> – jak pisał święty Paweł do Rzymian. Kto chce tego słuchać? Ja z pewnością nie chciałem. A Ojciec?

Patrząc wstecz, uświadamiam sobie, że najpewniej moi wierni nie obchodzili mnie wtedy ani trochę. Chciałem, żeby moje słowa brzmiały prawdziwie dla mnie samego. Myślę, że wielu kaznodziejów ma taką samą motywację. Nie wszyscy. Spotkałem ludzi prawdziwej wiary, żyjących w zgodzie z Chrystusem, pasterzy, którzy kochali swoje owieczki bardziej niż samych siebie. Dobrych ludzi. Łagodnych. Ludzi, którzy wyglądali jak Jezus, chociaż nie mieli jego szat i brody. Ale Dobra Nowina, którą rozpowszechnia się najczęściej, jest przycięta na miarę jej dostarczyciela i idealnie do niego dostosowana. A to sprawia, że właściwie całkiem traci ona znaczenie dla ludzi, którzy nieszczerze lubią na przykład trzyczęściowe garnitury albo sutanny, albo nawet dżinsy i koszulki polo.

Wy wszyscy mówicie przynajmniej dość spójne rzeczy, Ojczy. Oddaję wam tu sprawiedliwość.

---

<sup>1</sup> Fragmenty biblijne cytowane są według IV wydania *Biblii Tysiąclecia* [jeśli nie zaznaczono inaczej, przypisy pochodzą od tłumacza].

*Gdyby ktoś potrafił mi powiedzieć, czym naprawdę jest dzisiaj Dobra Nowina, wyszedłbym z tego pokoju hotelowego i nigdy nie obejrzał się za siebie. Wszystko mi jedno, dokąd bym poszedł – byle to nie było Mount Oak.*

*Skoro tej nowiny nie rozpoznają, niewiele mi zostaje. W sensie zawodowym.*

*W każdym razie...*

*Byłem dobry w wiecowych okrzykach.*

*– Dni Jezusa o smutnej twarzy już minęły! – Wznosiłem w górę pięść, śmiejąc się szeroko, szczęśliwy, że wymyślono paski wybielające zęby. – Minęły! Możecie to powiedzieć razem ze mną?*

*Minęły. Minęły. Minęły. Minęły. Minęły.*

*Nieważne, że On był człowiekiem trosk.*

*Nieważne, że On był przyzwyczajony do bólu.*

*– Minęły! Minęły! Minęły! – skandowali.*

*Jakaś kobieta wstała, podnosząc pięści w geście radości i zwycięstwa, kołysząc się w swoich wysokich czółenkach.*

*Daisy szukała miejsca, gdzie mogłaby usiąść.*

*Usadziłem tłum:*

*– Chwała Jego imieniu. Tego, który zniósł ból i smutek, i śmierć.*

*Nie można nawet powiedzieć, że mówiłem nieprawdę. Po prostu zapomniałem przewrócić monetę i ukazać obraz z drugiej strony: zakrwawionego Chrystusa, brudne dłonie żołnierzy, pokryte kurzem stopy z odciskami, zranione serce tego, kto staje się bezbronny w imię królestwa, które ma nadejść. Czymkolwiek by ono było.*

*Przed swoim wystąpieniem przeprowadziłem chyba z dziesięć prób, więc na jej widok nie pomyliłem ani jednej sylaby. Byłem naprawdę dobry. Miałem plan, jak dostać się na szczyt. Umowa z wydawnictwem i kilka bestsellerów na liście „New York Timesa” z moimi zdjęciami na okładkach.*

*Ogromny kościół i kapłaństwo telewizyjne. Teleewangelści nieraz już zbierali cięgi, ale Drew Parrish wszystko odmieni. Dam radę. To wcale nie było takie samolubne... Albo może... zresztą nie wiem. Sądzę, że udało mi się przekonać samego siebie, że przynajmniej mała częśćka mnie pragnie nadejścia królestwa Bożego.*

*Cokolwiek by to było... Wtedy też tego nie rozumiałem, ale wiedziałem, że to coś osiągalnego, jeśli się to tylko zrozumiało, choćby w połowie. Jezus powiedział, że to jest między nami i w nas, a my wciąż się modlimy, żeby to nadeszło. Jak to możliwe?*

*Tak, Ojczy, znam odpowiedź, jakiej udziela się w seminarium. Ale proszę się rozejrzeć wokół siebie. Czy to się rzeczywiście tak rozgrywa? Nie sądzą.*

*Poznałem smak wymiernego sukcesu. Wiem, co to są zapełnione miejsca w kościele i gotówka w szufladzie, a że jeszcze jednego i drugiego miałem w nadmiarze... to właśnie takie było królestwo, które nadeszło.*

*Możesz to nazwać chciwością, Ojczy. Istotnie, zapewne tak właśnie nazwałbyś to w swojej małej parafii w Ocean City w stanie Maryland. I miałbyś rację.*

*I pewnie mówisz jeszcze, że to jest również pycha? W porządku. Tak jest.*

*Kiedy zjawilem się we Wzgórzach Elizejskich, kongregacja liczyła zaledwie stu pięćdziesięciu członków.*

*Matka wskazała jej wolne miejsce i Daisy usiadła.*

*Tak jak i setka innych spóźnionych. Przypuszczam, że to włosy obu kobiet przyciągnęły moją uwagę, a także jasnorożowy kostium matki. Nic innego.*

*Ciągnąłem dalej swoje kazanie, okraszając je żartami i wzruszaniem ramion, na poły komiczny i na poły przyjacielski pan profesor, nigdy zbyt blisko sedna spraw. Nigdy nie mówiłem o grzechu. To by nie zadziało – miałem ich*

*dokładnie tam, gdzie chciałem ich doprowadzić, no i jeszcze końcowa modlitwa, ozdobnik na finał.*

*– Dzięki niech będą Bogu, który daje nam zwycięstwo. Amen.*

*Tylko ja wymawiałem to słowo „A-men”<sup>2</sup>.*

*A oni mi to dali, ten ostatni ton nabożeństwa, dokładnie tak jak zaplanowałem.*

*– Amen.*

*I tylko oni wymawiali to „A-men”.*

*Normalnie, ze względu na dużą liczbę ludzi, nie mogłem stawać po nabożeństwie przy wyjściu z kościoła jak staroświecki kaznodzieja – i pewnie tak jak Ty stajesz, Ojczce – i ścisnąć dłonie paniom Grundym<sup>3</sup> tego świata, które trzymają Biblię jak szkatułki z kosztownościami i aż mrużą oczy z zachwytu, kiedy pastor zatrafi o coś osobistego z ich życia, o coś, co stanowi dla nich znak, że się o nie troszczy. „No i jak się udał ten zabieg w szpitalu?” „Czy pani córka doleciała bezpiecznie?” „Mam dla pani egzemplarz tej książki, o której rozmawialiśmy, leży w recepcji”.*

*Nie, z tą osobistą dostawą sentymentów dałem sobie spokój już kilka lat wcześniej. Nazywałem tę technikę „stratami wśród ludności cywilnej”. Powinno to być dla mnie znakiem ostrzegawczym. Widzę to coraz wyraźniej.*

*Ale mieliśmy akurat wizytę senatora Randalla, przyjaciela mojego ojca, więc zamiast udać się do swojego gabinetu w części administracyjnej na tyłach świątyni, przeszedłem do wyjścia wzdłuż nawy pośród zakłopotanych spojrzeń osób, które co niedziela oczekiwały ode mnie właśnie tego. Puściłem oko, tak jakbym chciał ich we wszystko wtajemniczyć.*

---

<sup>2</sup> W krajach anglojęzycznych częstsza jest wymowa „Ej-men”.

<sup>3</sup> Pani Grundy, postać fikcyjna będąca w kulturze anglosaskiej odpowiednikiem naszej pani Dulskiej.

*Senator wyszedł jako jeden z pierwszych i rozmawialiśmy przez minutę czy dwie. Zostałem wychowany w świecie polityki. Była moją drugą naturą. Ale nie bardzo mogłem oddalić się wraz z moim rozmówcą, więc stałem przy drzwiach przybytku modlitwy, uśmiechając się swobodnie, ponieważ miałem w tym długą praktykę. Jakim wspaniałym kościołem stały się Wzgórza Elizejskie pod moją opieką! Rada parafialna uwielbiała mnie i formułowała ambitne oczekiwania. A ja je spełniałem.*

*Cóż za wspaniałe miejsce dla ludu Bożego!*

*Szarozielony dywan, kremowe ściany i zwykłe okna w przedsionku służyły jako tło dla tablic z ogłoszeniami, centrum informacyjnego, stoiska z kawą i sokami oraz szerokich schodów prowadzących na balkon, na którym znajdowało się więcej krzeseł, urządzenia do projekcji i nagłośnienia oraz gdzie ustawiał się chór. Chórowi nadaliśmy nazwę „Śpiewacy Wspólnoty”, bo wydawali się tacy archaiczni. Trzymaliśmy ich w ukryciu.*

*I nigdzie nie było krzyży.*

*Na pewno Cię to szokuje, Ojcze.*

*– Wstydzicie się krzyża? – pytasz.*

*Po prostu nie chcieliśmy nikogo obrazić, choć – tak, przyznaję – samo Pismo twierdzi, że krzyż jest obrazą<sup>4</sup>.*

*Ludzie kręcili się wokół stoiska z kawą; aromat świeżo zmielonych ziaren perfumował wszystkich zebranych. Można wybrzydzać do woli na kościelny bar kawowy, ale kiedy zainstalowaliśmy coś takiego na rok przed przyjściem Daisy i naszpikowaliśmy to dobrą kawą oraz syropami smakowymi, kongregacja rozrosła się o dwadzieścia procent. To było świetne posunięcie.*

*Następnej jesieni mieliśmy uruchomić własną ligę sportową. A na deskach projektantów leżały już plany szko-*

---

<sup>4</sup> Por. 1 Kor 1, 18.

ty chrześcijańskiej. Im więcej mogliśmy zaoferować, tym bardziej prawdopodobne było to, że ludzie do nas przyjdą i z nami zostaną.

Nie mam za sobą, Ojczy, potężnej organizacji, takiej jak Kościół katolicki. Jesteśmy zdani raczej na własne siły.

– Wczoraj wieczorem widziałam pańskiego ojca w telewizji! – Lucy złapała mnie za rękę i dziko nią potrząsała. Lucy co miesiąc zgłaszała się jako wolontariuszka do pracy w żłobku, chociaż nie miała własnych dzieci.

– To świetnie! Świetnie!

– Naprawdę dawał wycisk... no... temu drugiemu, który występuje w tym programie. Pan zna taki talk-show z dwoma facetami? Nie pamiętam ich nazwisk, nadają to zawsze po wiadomościach o jedenastej wieczorem.

Uśmiechnąłem się.

– Tak, on potrafi się znaleźć w takich sytuacjach. Życzę miłego weekendu!

Uśmiechałem się. Uśmiechałem się. Uśmiechałem się tak często, że czasem się zastanawiałem, czy głowa nie rozpadnie mi się od tego na dwoje.

Następny był Fred Hastert.

– Jak leci, pastorze?

Przy tej ilości papierosów, które wypalał, powinien sobie wybielić zęby, ale dokonywał cudów z naszym budżetem i co wtorek wczesnym rankiem prowadził męskie śniadania modlitewne.

– W porządku, Fred. Uważaj na siebie.

Później przyszła pora na Raynelle Pierce. Lubilem jej sałatkę owocową, którą szykowała na parafialne obiady. I zawsze się zgłaszała, kiedy mieliśmy dzień sprzątania. Niestety sypiała z naszym dozorcą. Nic dziwnego, że przychodziła właśnie wtedy. Wiem. Wiem. Wciąż zamierzałem z nimi o tym porozmawiać. Także i ją szybko załatwiłem.

*Następna w kolejce stała Maggie Reynolds.*

*– Maggie! Jak twoja nowa praca?*

*– Świetnie. Dużo podróżowania. W zeszłym tygodniu byłam w Waszyngtonie na kilku spotkaniach w FCC<sup>5</sup>.*

*Maggie pracowała dla jednej z dużych grup medialnych. Nietatwo było ją wywieść w pole i cieszyliśmy się, że ktoś tego kalibru przychodzi do Wzgórz Elizejskich. Próbowaliśmy ją wciągnąć w prace nad strategią albo do komisji finansowej, ale zawsze było u niej krucho z czasem.*

*Maggie i inni celebryci pospieszyli do swoich obowiązków, a przede mną nadal defilowali skromni ludzie stanowiący trzon naszego kościoła. Składali na ołtarzu wyrazy swego uznania, a ja kiwałem głową, uśmiechałem się i z miłością ścisnąłem ich dłonie, przyjmując ich uwielbienie – a może nawet i prawdziwą miłość. Zawsze spoglądałem nieco ponad ich głowami, wypatrując kolejnej grubej ryby stojącej w kolejce.*

*– Piękne kazanie, pastorze.*

*– Usłyszałem prawdziwe słowo naszego Pana.*

*– Namaszczony! Nasz pastor jest naprawdę namaszczony!*

*A ja się uśmiechałem. I uśmiechałem.*

*No tak, mnie też się robi trochę niedobrze. Mam nadzieję, że to krok w dobrym kierunku.*

*Po kolejnych dziesięciu tego typu interakcjach z wiernymi podeszły do mnie tamte dwie spóźnialskie. Daisy miała na sobie garsonkę prawniczkę z serialu komediowego – oczywiście z obowiązkową krótką spódnicą; ale była ładniej zaokrąglona niż tamta chuda aktorka o dziwnym imieniu,*

---

<sup>5</sup> Federal Communications Commission, agencja przyznająca w USA częstotliwości radiowe, telewizyjne i telekomunikacyjne.

która spopularyzowała ten strój kilka lat wcześniej<sup>6</sup>. Miałem zresztą do niej słabość, uwielbiałem jej skórę na grzbiecie nosa naprężoną niczym guma, jej kości policzkowe i nogi jak patyczki – niemal jak u złośliwego duszka – które można było złamać jednym ostrzejszym spojrzeniem.

Zmieniła styl Hollywood. Jednoosobowo. Podziwiałem ją.

Uśmiechnąłem się.

– Witam serdecznie! Dzień dobry! Dziękuję, że pani dziś przyszła.

Trician – matka – miała włosy tego samego perłowego koloru co Daisy, ale nieco krótsze, no i w ogóle była chyba o połowę mniejsza. Zrewanżowała mi się uśmiechem.

– Wspaniałe kazanie, wielebny ojcie.

Jej biżuteria pobrzękiwała i błyszczała, a cała postać wysyłała w moim kierunku ciężki, przestodzony zapach perfum.

Wiejski akcent kontrastował z efekciarskim, dziwacznym strojem. Można wyciągnąć dziewczynę z głuchej prowincji, ale nie można wyciągnąć...

– Tak w ogóle to jestem Drew. – Zwróciłem się do Daisy, angażując przy tym swój głupkowaty urok.

Wyciągnęła rękę, ukazując manicure w dobrym guście, i mocno potrząsnęła moją dłońią. No cóż. Trochę mnie to zaskoczyło. Wydawało mi się, że należy do tego samego gatunku co jej matka.

– To moja córka Daisy.

– Miło cię poznać, Drew.

Cóż, może nie była chuda jak patyk, ale jej szokująco niebieskie oczy i wydatny biust przemawiały w sposób, w jaki tamte cienkie nóżki na pewno nie dałyby rady. Po prostu

---

<sup>6</sup> Aluzja do Calisty Flockhart, odtwórczyni głównej roli w serialu *Ally McBeal*.

nie można było tego nie zauważyć. Roztaczała wokół siebie jakiś szczególny urok, który musiał zostać dostrzeżony przez każdego heteroseksualnego samca – o ile nie miał poważniejszych problemów ze wzrokiem.

– Dziękuję, że przyszedliście.

Wycofała rękę i dostrzegłem w tym geście autentyczność. Opuściła oczy i wygładziła żakiet. A więc poprzednia bra-wura była czymś wyuczonym, wyćwiczonym, być może ty-siąckrotnie powtórzonym przed pełnowymiarowym lustrem na drzwiach szafy w sypialni.

Szkoda.

– Ja jestem Trician. – Matka pochylili się do przodu, a w jej oku pojawił się błysk, którego wymowę rozpoznałby nawet zakonnik. – Trician Boyer.

Leci na mnie! Chciało mi się śmiać. Ta sfatygowana istota, która najwyraźniej została ponaciągana i pozszywana przez chirurga w coś na kształt maski kabuki?

– Miło cię poznać – wyszeptalem i zwróciłem się ku następnej osobie w kolejce. Ale napotkałem spojrzenie Daisy i puściłem do niej oko. Ona odpowiedziała tym samym i przeszła przez drzwi, wciskając tyłek między dwoje staruszków.

Zanim zniknęła na dziedzińcu, raz jeszcze się odwróciła i spojrzała mi w oczy. Po chwili potknął ją tłum.

Ale jej obraz pozostał mi na jakimś drugim poziomie widzenia, utrwalony na zielonkawej stop-klatce. Hmm.

Niedługo potem stamtąd uciekłem, udając, że słyszę, jakoby ktoś wołał mnie z klatki schodowej. Z uśmiechem pomachałem ludziom pozostającym wciąż w przedsionku. Cóż za sympatyczny facet z tego Drew Parrisha! Jakiż to naprawdę miły gość. Zawsze dobrze ogolony i wyglądający ujmująco. U niego żaden włos nie jest nigdy na niewłaściwym miejscu, żadna zmarszczka nie jest niezaprasowana.

*Nie mieli pojęcia.*

*Schowalem się w zamykanym na klucz biurze, czekając, aż budynek opustoszeje. Wziąłem do ręki dekoracyjną kulę z różowego marmuru. Uspokajała mnie, a jej gładki chłód przypominał mi matkę, po której tę kulę odziedziczyłem.*

*Usłyszałem zbliżające się kroki, potem drewniany panel drzwi zadrżał od pukania, w końcu znów kroki – wycofujące się. Udałem, że mnie tu już nie ma. Siedząc tak i patrząc na odbicie światła lampy na biurku, przygotowywałem się do niedzielnej rozmowy telefonicznej z ojcem. Chciałbym umieć się do niej przygotować. Ale nigdy nie byłem przygotowany. Ani razu.*

*12.59. Alarm ustawiony w zegarze stojącym na biurku zabrzączał trzy razy. Jedną minutę wcześniej, zanim najbardziej wyrachowany, absurdalnie niemoralny i idealnie zadbany człowiek zadzwoni do mnie i zacznie mnie przypiekać, wypytując o moją wydajność w minionym tygodniu. A liczby, synu, jak wyglądają liczby? Jacyś nowi liczący się ludzie?*

*Wiem, to nie wygląda na szacunek dla ojca, prawda? Kolejny grzech na liście.*

*Podniosłem słuchawkę przy trzecim dzwonku.*

*– Tato?*

*– DREW.*

*Tak, a mimo wszystko podziwiałem faceta. Miał dostęp do ucha prezydenta, Kongresu i wszystkich ważniejszych kaznodziejów oraz liderów wspólnot chrześcijańskich w USA. I podczas gdy jego klienci perorowali, cytując Pismo Święte, on sam wiedział dobrze, że słowo Boże ma niewielką wartość na Wzgórzu Kapitołińskim<sup>7</sup>, gdzie się ukrywał wśród kongresmenów i senatorów.*

---

<sup>7</sup> Capitol Hill – rejon Waszyngtonu, gdzie znajdują się m.in. gmachy Kongresu oraz Sądu Najwyższego.

*Przynajmniej dzwonił raz w tygodniu. Ilu ojców nie robi nawet tego, od chwili gdy ich synowie się usamodzielniają?*

*– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Drew. Do statek moją kartkę?*

*– Tak. Dzięki, tato.*

*– Trzydziestka to ważna data w życiu mężczyzny. Kończą się wymówki – od teraz tylko cała naprzód.*

*– Tak, pewnie masz rację. A wybierasz się tu w najbliższym czasie?*

*Zawsze wpadałem w formalny ton narzucany przez ojca.*

*Milczał, bo wiedział, że ja już wiem, jaka jest odpowiedź, więc po co zadawać bezwartościowe pytanie? To był taki jego ojcowski sposób na udzielanie mi reprimendy za głupotę. Zawsze taki był. Przychodziłem na przykład ze szkoły z jakimś nowym pomysłem. Jeśli się nie zgadzał, nie mówił nic. Jeśli nie podobało mu się moje ubranie, wpatrywał się we mnie milcząco.*

*Nic dziwnego, że matka popełniła samobójstwo.*

*No i co powiesz, Ojczcie, na takie wyznanie? Nikt na świecie o tym nie wie, poza mną i ojcem. No i teraz Ty jesteś trzeci.*

*– Więc ruszasz w drogę w tym tygodniu, tato?*

*– Tak. Do Lynchburga, Virginia Beach, a potem do Springs.*

*– Wielka trójka.*

*– Obmyśliłem nową strategię. Za dziesięć lat wszystko się zmieni nie do poznania. Wszystko zasadza się na gejach. Nie powinni byli otwierać tej puszkii Pandory z małżeństwami. Sądzę, że teraz możemy na tym jechać do upadłego.*

*Nerwy tego człowieka zabrzmiałyby jak gong, gdyby w nie walnąć łyżką do opon.*

– *A czy to nie zwróci uwagi na inne problemy z małżeństwami, te, o których ludzie wolą nie myśleć?*

– *Masz na myśli rozwody?*

– *Tak.*

– *No, to jest zupełnie inna kwestia.*

*Ostatnią rzeczą, której mógłby chcieć mój ojciec, było to, żeby zwolennicy któregoś z jego kandydatów zaczęli myśleć o świętości małżeństwa w ogóle. Wiedział, że ludzie używają swych głosów, chcąc dać dowód moralności, której brakuje w ich prawdziwym życiu. Korzystają z hipokryzji w polityce.*

*Za oknem padał śnieg. Powiedziałem, że muszę iść. Nigdy wcześniej nie przerwałem ojcu. Ale nie dałbym rady wysłuchać choćby jeszcze jednego słowa.*



Dwunasta w południe, wszystko jest w porządku. Nachyliłam się i łapię butelkę dzinu stojącą przy łóżku. W mojej nocnej szafce jest dziura po kuli. Dziura po kuli. Co będzie dalej? Karaluchy? Odcięta głowa?

Upijam łyk.

Dzwoni telefon. Pewnie pomyłka, ale równie dobrze mogę odebrać.

Sięgam po słuchawkę.

– *Czy jest tam Drew Parrish?*

– *Tak, to ja.*

*Kobieta rozłącza się.*

*Czuję się prawie jak po oparzeniu.*

Dobrze to znam. Rozcieram porządnie ucho palcem wskazującym. Nie mogę sobie przypomnieć tego głosu.

I skąd wiedziała, kim jestem i gdzie jestem? Wydawało mi się, że całkiem skutecznie zacieram za sobą ślady.

# Spis treści

## CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1	7
Rozdział 2	29
Rozdział 3	52
Rozdział 4	68
Rozdział 5	86
Rozdział 6	100
Rozdział 7	126
Rozdział 8	154
Rozdział 9	176
Rozdział 10	188
Rozdział 11	204
Rozdział 12	219
Rozdział 13	239
Rozdział 14	257

## CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział 15	275
Rozdział 16	292
Rozdział 17	302
Rozdział 18	317
Rozdział 19	328
Rozdział 20	341
Rozdział 21	355
Rozdział 22	364
Rozdział 23	371
Od autorki	377
Podziękowania	378